

# DŁUGA UTOPIA



TERRY PRATCHETT  
STEPHEN BAXTER  
DŁUGA UTOPIA

Przełożył  
Piotr W. Cholewa

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
THE LONG UTOPIA

Copyright © Terry and Lyn Pratchett and Stephen Baxter 2015  
First published as *The Long Utopia* by Transworld Publishers,  
a division of The Random House Group Limited  
All rights reserved

Projekt okładki  
Piotr Cieśliński/Dark Crayon

Ilustracje na okładce  
© Biletskiy Evgeniy, marcel, kaalimies, Natalia80, Yuriy Kulik

Ilustracja na stronie 6  
© Richard Shailer

Redaktor prowadzący  
Joanna Maciuk

Redakcja i korekta  
Grażyna Nawrocka

Łamanie  
Jacek Kucharski

ISBN 978-83-8069-226-8

Warszawa 2016

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
www.proszynski.pl

Druk i oprawa  
Drukarnia POZKAL  
88-100 Inowrocław, ul. Cegielna 10-12

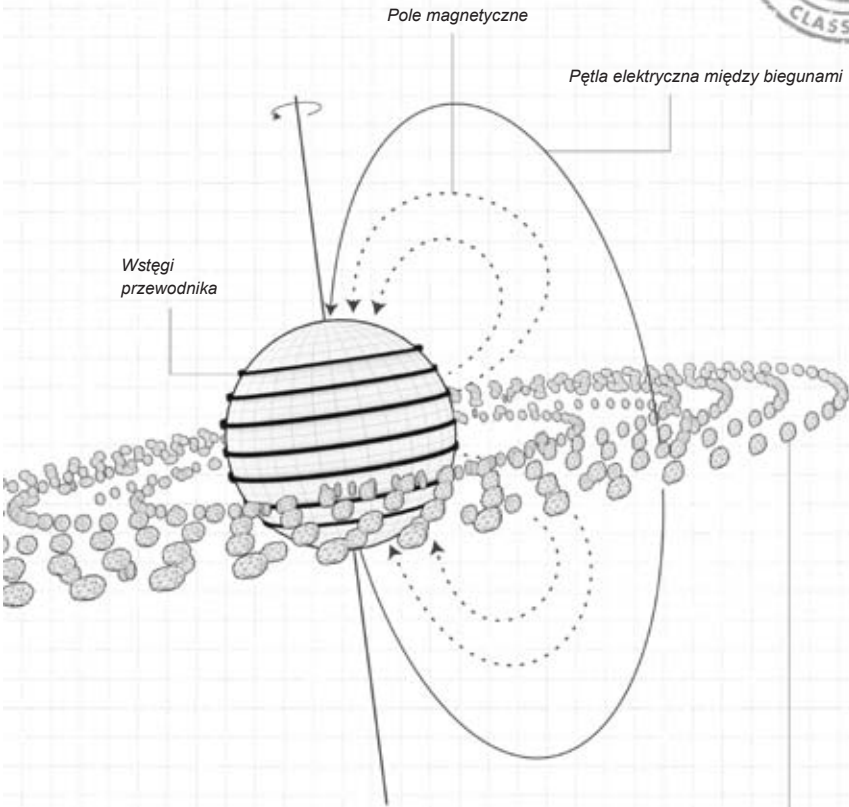
*Lyn i Rhiannie, jak zawsze*

T.P.

*Sandrze*

S.B.

KONCEPCYJNY SZKIC SCHEMATU SILNIKA  
PLANETARNEGO FREEMANA DYSONA



Skala księżycowa  
Materiał przewodzący



Orbitujący „pojazd kosmiczny”

# ROZDZIAŁ 1

Łuty 2052 roku, na dalekiej Długiej Ziemi:  
Na innym świecie, pod innym niebem – w innym wszechświecie, którego odległość od Ziemi Podstawowej liczy się jednak zwyczajnością ludzkich kroków – Joshua Valiente leżał przy ognisku. Połujące zwierzęta stękały i sapały niżej, na dnie doliny. Noc była aksamitnie fioletowa, żywa owadami, kłująca jakimiś pchłami czy muchówkami, które jak kamikaze atakowały lotem nurkowym każdy odsłonięty skrawek skóry.

Joshua przebywał w tym miejscu od dwóch tygodni i nie rozpoznał żadnego ze zwierząt, z jakimi dzielił ten świat. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, gdzie jest, czy to geograficznie, czy wykroczenie – nie zadał sobie trudu liczenia Ziemi, przez które przekraczał. Człowiekowi na samotnych wakacjach nie jest potrzebna dokładna lokalizacja. Nawet po trzydziestu latach wędrówek po Długiej Ziemi nie poznał jeszcze wszystkich jej cudów.

Co skłaniało do zadumy. W tym roku kończył pięćdziesiąt lat. Takie rocznice zawsze budzą refleksje.

– Dlaczego wszystko musi być takie dziwne? – powiedział głośno. Był sam na całej planecie, więc dlaczego miałby się powstrzymać? – Wszystkie te równoległe światy i cała reszta. Po co to wszystko? I dlaczego zdarzyło się właśnie mnie?

I dlaczego znowu zaczęła go boleć głowa?

Tak się składa, że odpowiedzi na niektóre z tych pytań czekały gdzieś – nie tylko w dziwacznej, wykroczonej geografii Długiej Ziemi, ale i zagrzebane głęboko w przeszłości Joshuy. W szczególności, częściowe wyjaśnienie prawdziwej natury Długiej Ziemi zaczęło się odsłaniać już w lipcu roku 2036, w Wysokich Meggerach:

Dopóki mieszkali w domu w New Springfield, a w końcu było to ledwie kilka lat, Cassie Poulson starała się zapomnieć, co znalazła, kiedy latem '36 kopała piwnicę.

Cassie nie była całkiem przekonana do tego nowego świata, kiedy zjawiła się tu rok wcześniej. Nie chodzi o to, że wątpiła we własną umiejętność założenia domu czy rodziny w tych słabo zbadanych pustkowiach Długiej Ziemi. Albo w swój związek z Jebem, mocny i równy jak te gwoździe, które Jeb już wytwarzał w swojej kuźni. Nie miała wątpliwości co do ludzi, którzy wraz z nią pokonali całą drogę – epicką podróż na ponad milion kroków od Podstawowej, w poszukiwaniu nowego domu na którymś z wielu światów, odkrytych parę lat temu w pionierskiej wyprawie Joshuy Valiente w jednym z pierwszych sterowców Długiej Ziemi.

Nie, to sam świat sprawiał jej kłopoty, przynajmniej na początku. Ziemia Zachodnia 1 217 756 była porośnięta lasem. I tylko lasem. Wydawała się całkiem obca dla dziewczyny, która prawie całe życie spędziła na Miami Zachodnim 4, będącym w tamtym czasie zaledwie skromnym przedmieściem macierzystego miasta na Podstawowej.

Gdy jednak minął pierwszy rok, sytuacja zaczęła się poprawiać. Cassie z zachwytem odkryła, że prawie nie ma tu pór roku – ani tych lat, które zmieniały Miami Zachodnie 4 w rozgrzany piekarnik, ani wartych wspomnienia zim. Człowiek mógł się nie przejmować pogodą, a ona nie sprawiała kłopotów. Równocześnie, jeśli nie liczyć zwykłego zestawu komarów i innych kłujących owadów, w lasach nie żyło nic, co mogłoby zrobić krzywdę – a przynajmniej większą niż jakieś ugryzienie w palec przez wystraszonego futrzaka; należało



tylko trzymać się z dala od rzeki, gdzie kryły się krokodyle i gniazda wielkich ptaków.

Było jeszcze lepiej, kiedy z Jebem oczyścili dość terenu, by posadzić pierwsze rośliny: pszenicę i ziemniaki, sałatę i buraki; kury i kozy miały też młode, a Jeb zbił razem i postawił zaczątki ich własnego domu.

Tak, wszystko się dobrze układało aż do dnia, kiedy Jeb uznał, że przyda się im piwnica.

Wszyscy wiedzieli, że piwnica to sensowny środek ostrożności – magazyn żywności i schronienie przed zagrożeniami, takimi jak trąby powietrzne albo bandyci z krokerami. Wprawdzie Jeb i sąsiedzi nie spodziewali się kłopotów, ale nigdy nic nie wiadomo. Zresztą dobrze będzie mieć już ją na miejscu, zanim założą rodzinę.

I tak Cassie kopała w ziemi łopatą z brązu, którą przeniosła tu przez całą drogę z Miami Zachodniego 4, a Jeb wyruszył z myśliwymi, żeby upolować wielkiego ptaka. Praca nie była ciężka. Drzewa ścięto, korzenie usunięto z ziemi, natomiast Cassie była silna i twarda po długiej wędrówce i trudach pionierskiego życia. Po południu brudna i spocona kopała już w dole głębszym niż jej wzrost.

I właśnie wtedy łopata nagle trafiła w pustą przestrzeń i Cassie poleciała do przodu.

Odzyskała równowagę, cofnęła się, odetchnęła i przyjrzała się dokładniej. Przebiła się przez ścianę planowanej piwnicy, w czarną pustkę, jakby do jaskini. Nie знаła zwierzęcia, które wykopuje nory tak głębokie i rozległe, na jaką wyglądała ta za ścianą; owszem, żyły tu jakieś ziemne futrzaki, ale nikt nie widział żadnego większego niż kot.

Oczywiście, to, że nie widział, nie znaczy jeszcze, że takie nie istnieją – i prawdopodobnie nie będą zachwycone tym, że zakłóca im spokój. Powinna się stąd wydostać.

Ale dzień był spokojny. Całkiem niedaleko jej sąsiadki plotkowały przy lemoniadzie. Cassie czuła się bezpieczna, a ciekawość mocno jej doskwierała. Znalazła coś nowego w tym nieskończonym, niezmiennym lecie New Springfield.

Pochyliła się i zajrzała do dziury.

I zobaczyła tam twarz kogoś, kto patrzył na nią.

Twarz była ludzkich rozmiarów, ale nie ludzka. Raczej owadzia, pomyślała, rodzaj lśniący czarnej rzeźby z fasetowymi oczami podobnymi do kiści winogron. Połowę tej twarzy pokrywał srebrzysty metal – maska. Widziała to wszystko w czasie jednego uderzenia serca – tyle było trzeba, by szok dotarł do wszystkich zakątków organizmu.

Dopiero wtedy krzyknęła i odskoczyła. Kiedy spojrzała po raz drugi, zamaskowana twarz zniknęła.

Josephine Barrow, jedna z sąsiadek, podeszła i zajrzała z góry do wykopu.

– Nic ci się nie stało, skarbie? Uderzyłaś się łopata w nogę?

– Pomóż mi wyjść. – Cassie podniosła rękę.

Kiedy była już na górze, Josephine przyjrzała się jej z niepokojem.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Rzeczywiście, zobaczyła – coś.

Cassie rozejrzała się dookoła. Dom był już prawie gotów do położenia stałego dachu, pola zostały oczyszczone i czekały na pierwsze zbiory, była też wykopana dla przyszłych dzieci piaskownica... Tyle pracy włożyli w to miejsce. Tyle miłości. Nie chciała tego zostawiać.

Ale też nie chciała mieć do czynienia z tym, co siedziało w dole.

– Musimy zakryć wykop – oświadczyła.

– Chociaż tak się namęczyłaś? – Josephine zmarszczyła czoło.

Cassie myślała szybko.

– Trafiłam na wody gruntowe. Miejsce nie nadaje się na piwnicę. Kiedyś wykopiemy tu studnię. – Pod ścianą leżał stos pociętego drewna. – Pomóż mi.

Zaczęła na wykopie układać deski.

Josephine przyjrzała się zdziwiona.

– Czemu nie zasypiesz tej dziury?

Bo to za długo by trwało. Bo chciała dobrze wszystko ukryć, zanim wróci Jeb.

– Zakopię później. A na razie mi pomóż, dobrze?

Josephine przyglądała się jej podejrzliwie. Ale jednak pomogła i zanim wrócił Jeb, Cassie rozsypała już na deskach ziemię i leśną ściółkę, więc nikt by się nie domyślił, że niedawno była tam dziura. Zaczęła nawet kopać nową piwnicę po drugiej stronie domu.

A kiedy wreszcie wieczorem usiedli do kolacji na werandzie swego domu, Cassie Poulson była na najlepszej drodze do zapoznania, że w ogóle widziała zamaskowaną twarz.

\* \* \*

Kilka lat później, w marcu 2040, w Miami na Ziemi Zachodniej 4:

To był tylko przypadek, jak zgadzali się później historycy Następnych, że Stan Berg urodził się w Miami Zachodnim 4, mieście, w którym dorastała Cassie Poulson. Cassie Poulson, w której domu w Wysokich Meggerach zlokalizowana była, jak się okazało, pierwotna anomalia zbiorcza – anomalia, mająca w efekcie ukształtować krótkie życie Stana Berga i nie tylko. Dziwny, ale jednak tylko przypadek.

Oczywiście, w roku urodzin Stana, wraz z przybyciem pierwszej fali uchodźców ze spustoszonej erupcją Yellowstone Ziemi Podstawowej, miasto zaczęło się dramatycznie zmieniać. Zanim Stan skończył osiem lat, ten coraz bardziej zatłoczony i chaotyczny obóz został przejęty przez rząd i korporacje i zamieniony w niezwykle plac budowy. Kiedy miał lat jedenaście, nowa „gwiazda” świeciła już nad horyzontem – nie prawdziwa gwiazda, ale orbitalny terminal powstającej windy kosmicznej, stworzonej przez społeczność rekrutowanych pospiesznie fanów, do których w tym czasie zaliczali się też rodzice Stana.

Jednak niezależnie od wstrząsów znaczących dzieciństwo Stana, nic nie wpłynęło na miłość, jaka wypełniła serce jego matki, Marthy, od chwili, kiedy pierwszy raz wzięła dziecko na ręce. I przynajmniej ona nie widziała niczego dziwnego w tej ewidentnej ciekawości, z jaką szeroko otwarte oczy Stana studiowały zmieniający się wokół świat już od chwili, gdy się na nim pojawił.

Joshua Valienté zawsze był sceptyczny wobec historii o joke-  
rach, jakie opowiadał Bill Chambers. Sporo później zdał sobie  
sprawę, że gdyby baczniej zwracał uwagę i trochę bardziej się za-  
stanawiał nad tym, co mówi Bill, może wcześniej zacząłby się orien-  
tować, o co chodzi w tym wszystkim. Na przykład w tym, co Bill  
opowiedział mu w roku 2040 – roku urodzin Stana Berga – kiedy  
podróżowali razem sterowcem do Wysokich Meggerów, daleko poza  
New Springfield, na temat jokera nazywanego Gałką:

Właściwie to Joshua znał ten świat. Więcej – odkryli go z Lob-  
sangiem w serii stosunkowo łagodnych światów zwanej Pasem  
Uprawnego, podczas pierwszej wyprawy w głąb Długiej Ziemi.  
Wtedy Joshua poznał znaczenie tego słowa.

– Jokery – mówił Lobsang. – Światy, które nie pasują do schematu.  
Bo jest pewien schemat, ogólnie rzecz biorąc. Ale te wyjątki się z niego  
wyłamują. Jokery w talii, jak je określają badacze Długiej Ziemi...

Joshua poznał już wiele takich światów, nawet jeśli nie miał  
dla nich specjalnej nazwy. Ten joker wyglądał jak kula bilardowa,  
z całkowicie gładkim i szarym gruntem pod bezchmurnym ciemno-  
niebieskim niebem.

Ale chociaż sam widział to miejsce, wiedział, że nie należy wie-  
rzyć historiom Billa. Bill Chambers, mniej więcej w jego wieku,  
wychował się razem z Joshuą w Domu w Madison, w stanie Wi-  
sconsin. Był przyjacielem, rywalem, źródłem kłopotów – i zawsze  
wytrawnym kłamcą.

Bill mówił:

– Znałem takiego gościa, co znał gościa...

– No jasne...

– Który się założył, że spędzi noc na Gałce. Jedną noc. Całkiem  
sam. Jak ty byś to zrobił. Ale na golasa, bo to był element zakładu.

– Pewnie.

– Rano się obudził z potwornym kacem. Wiesz, samot-  
ne picie nigdy nie jest rozsądne. Otóż ten gość był naturalnym

przekraczającym. No więc taki trochę nieprzytomny pozbierał swoje rzeczy i przekroczył. Tylko że tak jakby się potknął przy przekraczaniu.

– Potknął się?

– Mówił, że miał wrażenie, jakby nie przekroczył należycie.

– Co? Jak to możliwe? O co ci chodzi?

– No wiesz, przekraczamy na wschód albo przekraczamy na zachód. Masz jeszcze te czułe punkty, tak jakby skróty, o ile umiesz je znaleźć. Ale to wszystko...

*Przekraczanie:* w Dniu Przekroczenia świat zakręcił się wokół ludzkości. W rezultacie każdy, kto zadał sobie nieco trudu i zbudował kroker, dość prymitywny aparat elektryczny – a niektórzy, jak Joshua, nie potrzebowali nawet tego – mógł opuścić dawną rzeczywistość, zrobić krok i znaleźć się w innym świecie, całkiem podobnym do dawnego, tyle że porośniętym puszcza i pełnym dzikich zwierząt – gdyż tylko na oryginalnej Ziemi powstała i ewoluowała ludzkość, zyskując szansę kształtowania swego świata. Całe planety w odległości spaceru. W obu kierunkach, na wschód i na zachód, można było zrobić kolejny krok, i jeszcze jeden... Jeśli istniał gdzieś kraniec Długiej Ziemi, jak nazwano ten łańcuch światów, to jeszcze nie został odkryty. Po Dniu Przekroczenia wszystko się zmieniło – dla ludzkości, dla Długiej Ziemi, a w szczególności dla Joshuy Valienté.

Ale nawet Długa Ziemia miała swoje reguły. A przynajmniej Joshua zawsze w to wierzył.

– ...W każdym razie temu gościowi się wydawało, że przekroczył jakby inaczej. Prostopadle. Jakby na północ.

– I co?

– I znalazł się w jakimś innym świecie. Była noc, nie dzień. Żadnych gwiazd na czystym niebie. W pewnym sensie żadnych. A zamiast nich...

– Twoje opowieści czasem naprawdę zgrzytają, Bill.

– Ale przyznaj, że cię zaciekałem...

– No, dawaj dalej. Co takiego zobaczył?

– Zobaczyl wszystkie gwiazdy. Wszyściutkie. Zobaczyl całą waloną galaktykę, chłopie, Droge Mleczną. Z zewnatrz...

Poza Galaktyką. Tysiące lat świetlnych od Ziemi – od dowolnej Ziemi...

– Cały czas goły, rozumiesz – zakończył Bill.

To jest kłopot z chesaczami, uznał wtedy Joshua. Są ekspertami w wymyślaniu bzdur. Może za dużo czasu spędzają samotnie.

Uświadomił sobie jednak, kiedy wspominał o tym w lutym 2052 roku, że nawet Lobsanga podejrzewał o wymyślanie bzdur, chociaż bzdur w naprawde kosmicznej skali. Gdyby tylko uważniej go słuchał, kiedy miał okazję...

Teraz było już za późno, ponieważ Lobsang był martwy.

\* \* \*

Joshua był na miejscu, kiedy to się stało, późną jesienią 2045 roku:

On i Sally Linsay czekali pod drzwiami Domu w Madison Zachodnim 5. Był wczesny wieczór i zapalały się lampy uliczne. Sally miała na sobie typową odzież podróżną: rybacką kamizelkę z masą kieszeni pod nieprzemakalną kurtką, a na ramionach lekki skórzany plecak. Jak zwykle, wyglądała, jakby w każdej chwili mogła wyruszyć. I im dłużej czekali, aż siostry otworzą, tym większa była na to szansa.

– Nie denerwuj się – poprosił Joshua, by jakoś ją zatrzymać. – Powiedz cześć. Wszyscy tutaj chcą cię zobaczyć i podziękować za to, co zrobiłaś dla Następných. Wyrwałaś te superinteligentne dzieciaki z więzienia w Pearl Harbor...

– Znasz mnie, Joshua. Dzisiaj na wszystkich Niskich Ziemiach przewalają się tłumy. I są takie miejsca jak to. Ten... Dom... gdzie zamykają cię dla twojego dobra. Nie obchodzi mnie, czy byłeś tu szczęśliwy albo nie, z tymi pingwinami...

– Nie nazywaj ich pingwinami.

– Jak tylko tu skończymy, zamierzam upić się do nieprzytomności, możliwie szybko.

– W takim razie będziesz potrzebowała czegoś mocniejszego niż nasze słodkie sherry. – Siostra John cicho otworzyła drzwi. Uśmiechnęła się. – Wejdźcie.

Sally uprzejmie uściśnęła jej dłoń.

Joshua ruszył za nimi korytarzem do tego, co dla niego było trochę upiornym odtworzeniem Domu, w którym się wychował – oryginał został zniszczony dawno temu, podczas zamachu atomowego na Madison Podstawowe.

Siostra John – z włosami ukrytymi pod białą chustą – pochyliła się do niego.

– Co u ciebie?

– Wszystko dobrze. Trochę się tu czuję zdezorientowany.

– Wiem. Nie pachnie jak należy, prawda? Ale dajmy myszom kilkadziesiąt lat, a doprowadzą wszystko do normy.

– I ty. Ty teraz wszystkim kierujesz... Dla mnie zawsze będziesz zwykłą dawną Sarą.

– Którą uratowałaś z lasu w Dniu Przekroczenia. Kiedy tu wracasz, mam takie uczucie, jakbyśmy wszyscy nagle dorośli. Prawda?

– Właśnie. Dla mnie przełożona powinna być dominującą postacią. I powinna być stara...

– Tak stara, jak ja? – Siostra Agnes czekała na nich w drzwiach bawialni Domu, eleganckiego salonu, w którym siostry zawsze przyjmowały gości.

Ale Agnes, co niesamowite, wyglądała młodziej od siostry John. A kiedy objęła Joshuę, doznał delikatnego wrażenia sztuczności, ucałowany policzek wydawał się nadto gładki – natomiast pod jej praktycznym, trochę przybrudzonym habitem wyczuwał niepokojącą, niemal podświadomą supersiłę. Po jej śmierci Lobsang przywrócił Agnes do życia: zgrał jej wspomnienia do pamięci androida, podczas gdy chóry śpiewały buddyjskie modlitwy. Dla Joshuy było to czymś takim, jakby ktoś zmienił jego zastępczą matkę w robota terminatora.

Znał jednak Lobsanga od dawna i nauczył się dostrzegać ducha w maszynie. Tak u niego, jak teraz u Agnes.

– Witaj, Agnes – powiedział tylko.

– I Sally Linsay... – Agnes powitała Sally ostrożnym uściskiem dłoni. Nie próbowała jej obejmować. – Tak wiele o pani słyszałam, panno Linsay.

– Ja także.

Agnes przyglądała jej się przez chwilę uważnie, niemal wyzywająco, nim zwróciła się do Joshuy.

– Jak tam twoja rodzina? – spytała. – Fatalnie, że mieszkasz daleko od swojego małego synka.

– Nie takiego małego – uśmiechnął się Joshua. – Ale znasz mnie. Mam rozdartą duszę, Agnes. Jakaś część mnie zawsze coś ciągnie na pustkowią, na Długą Ziemię.

– Ale teraz jesteś w domu. Chodźcie, dołączymy do reszty.

Na tradycyjnych miękkich fotelach – niektóre z nich były oryginalne, przeniesione tu z Domu na Podstawowej – siedzieli Lobsang i Nelson Azikiwe.

Lobsang, a w każdym razie jego mobilny awatar, bosy i z ogoloną głową, miał na sobie pomarańczową szatę, która ostatnio stała się jego znakiem firmowym. Agnes przedstawiła sobie Sally i Nelsona – urodzony w Południowej Afryce, dawny kapłan, obecnie po pięćdziesiątce, ubrany był klasycznie, w garnitur i koszulę z krawatem. Pozornie niepasujący do siebie, on i Lobsang siedzieli spokojnie, trzymając na kolanach filiżanki herbaty i talerzyki z ciastem. Jakaś młodsza siostra, której Joshua nie znał, krzątała się wokół i podawała jedzenie.

Była też kotka Shi-mi. Podeszła do Joshuy i na powitanie otarła się o jego nogi. Potem spojrzała na Sally LED-owymi zielonymi oczami.

Joshua i Sally usiedli, Agnes dołączyła do kręgu, a siostra John i jej młoda towarzyszką przyniosły więcej herbaty i ciasta.

– To był mój pomysł, Joshuo – odezwała się Agnes. – Teraz, w okresie relatywnego spokoju, kiedy trochę przycichła globalna panika przed tymi supermądrymi dzieciakami, które podobno doprowadzą nas do zagłady, postanowiłam sprowadzić tu Lobsanga i zebrać razem jego przyjaciół. Chociaż raz.



– Przyjaciół? – Sally skrzywiła się. – Tak o nas myślisz, Lobsangu? Bo ja myślę, że jesteśmy raczej żetonami w grze. Monetami, którymi karmisz automat losu.

– Rzeczywiście, panno Linsay – uśmiechnął się Nelson. – Ale mimo to jesteśmy tutaj.

– Przyjaciele – oświadczyła stanowczo Agnes. – Bo co jeszcze w życiu się liczy, jeśli nie przyjaciele i rodzina?

Odezwał się Lobsang, spokojny, z obojętną twarzą.

– Twoja rodzina robi teraz sporo zamieszania, Sally. A w każdym razie twój ojciec ze swoimi pomysłami na nowy program kosmiczny.

– No tak. Kochany papcio marzy o wykorzystaniu marsjańskich włókien, by otworzyć dostęp do kosmosu. Prosta droga do masowej industrializacji.

– Na swój sposób Willis Linsay jest mądry. Powinniśmy znowu zacząć budować na tych skromnych fundamentach, do jakich zredukowało nas Yellowstone. Tak szybko i czysto, jak tylko potrafimy. Windy kosmiczne nam to umożliwią. W końcu być może pewnego dnia będziemy musieli współzawodniczyć z Następnymi.

– A co właściwie wiesz o Następnym, Lobsangu? – zapytał Nelson. – Przecież jakoś się z tobą kontaktowali. Czy jest coś ponad to, o czym mówiłeś publicznie?

– Wiem tylko tyle, że odeszli. Wszystkie te genialne dzieci, pojawiające się na całej Podstawowej, na całej Długiej Ziemi, kolejny krok ludzkiej ewolucji, które nasz rząd wyłapał i zamknął w klatkach na Hawajach... Odeszły do miejsca, które nazywają Zagrodą, gdzieś na Długiej Ziemi. Nawet się nie domyślam, gdzie to jest.

Sally zaśmiała się.

– Tobie też nie powiedzieli? Zostawili ci do sprzątnięcia cały ten bałagan w Szczęśliwym Porcie, prawda? To cię chyba wkurza, Lobsangu? Wszechobecny i wszechwiedzący bóg Długiej Ziemi, zredukowany do roli posłańca przez dzieci...

Joshua otworzył usta, by ją uciszyć.

– Nie, niech mówi – powiedział Lobsang. – Ma rację. To był dla mnie ciężki okres. Wiesz to lepiej niż ktokolwiek, Joshuo. Prawdę

mówiąc, to główny powód, dla którego pozwoliłem Agnes wezwać tu was wszystkich.

Agnes zeszywniała.

– Och, pozwoliłeś, tak? A ja naiwnie sobie wyobrażałam, że to mój pomysł.

Lobsang przyglądał się im kolejno: Sally, Nelsonowi, Joshui, Agnes, siostrze John.

– Jesteście moją rodziną. Tak o was myślę. Ale przecież macie własne rodzinne więzy. Nie wolno wam ich zaniedbywać. – Zwrócił się do Nelsona. – Ty także nie jesteś tak samotny, jak sądziłeś, przyjacielu.

– Podręcznikowa tajemniczość. Typowy Lobsang!

– Nie chciałem być taki mglisty. Jeśli wrócisz pamięcią do naszej wyprawy do Nowej Zelandii...

Najwyraźniej zirytowana faktem, że Lobsang przejął kontrolę nad jej przyjęciem, Agnes wtrąciła ostro:

– Lobsangu, jeśli masz coś do powiedzenia, to może przejdiesz do rzeczy?

Lobsang pochylił się i zgarbił. Nagle wydał się Joshui niewiarygodnie stary. Stary i znużony.

– Yellowstone i załamanie Podstawowej były dla mnie trudne. Przenikam Długą Ziemię, mam iteracje rozrzucone po systemie słonecznym, ale moim środkiem ciężkości zawsze była Ziemia Podstawowa. A teraz Ziemia Podstawowa jest ciężko poraniona. W konsekwencji i ja jestem. – Przycisnął kciuki do skroni. – Czasami czuję się niepełny. Jakbym tracił wspomnienia, a potem tracił pamięć o samej stracie... Yellowstone było dla mnie jak lobotomia. Od tamtej chwili miałem... wątpliwości. Mówiłem ci o tym, Joshuo. Czasami odnosiłem dziwne wrażenie, jakbym pamiętał wcześniejsze wcielenia. Ale według tradycji tybetańskiej, nie jest to przyjętą normą. Gdyby reinkarnacja była w pełni udana, powinienem stracić wszelkie wspomnienia dawniejszych żywotów. A więc być może ta reinkarnacja nie była udana. Albo... – zerknął na Agnes. – Możliwe, że istnieje bardziej przyziemne wytłumaczenie. Nie jestem w końcu

niczym innym niż istotą z elektrycznych iskier w dystrybuowanych zasobach żeluz korporacji Blacka. Może zostałem zhakowany...

Na chwilę zawiesił głos.

– Potem przyszli Następni i ich werdykt o mnie. Przed tym wszystkim wyobrażałem sobie, że będę... tak jest, Sally... wszechobecny i wszechwiedzący. Czemu nie? Wszystkie systemy komputerowe ludzkości, cała komunikacja, w końcu zintegruje się w jedną istotę: we mnie. A ja ukołyszę was wszystkich w bezpieczeństwie i ciepło, już na zawsze.

Sally parsknęła.

– Wieczność podporządkowania? Nie, dzięki.

Spojrzał na nią ze smutkiem.

– Ale co ze mną? Bez swojego marzenia jestem niczym.

Starannie odstawił filiżankę.

Ten drobny gest wyraźnie przestraszył Agnes.

– O co ci chodzi, Lobsangu? Co chcesz zrobić?

Uśmiechnął się do niej.

– Kochana Agnes... To nie będzie bolało, wiesz przecież. Po prostu...

Zamarł. Znieruchomiał w pół słowa, w pół ruchu.

– Lobsangu? – krzyknęła Agnes. – Lobsangu!

Podbiegła do niego razem z Joshuą. Trzymał Lobsanga za ramiona, a ona rozcierała mu ręce, potem twarz – syntetyczne dłonie na syntetycznych policzkach, myślał Joshua, a jednak emocje nie mogłyby być bardziej autentyczne.

Lobsang odwrócił głowę – tylko głowę, jak lalka brzuchomówcy – najpierw do Joshuy.

– Zawsze byłem twoim przyjacielem, Joshuo.

– Wiem...

Potem spojrzał na Agnes.

– Nie bój się – powiedział. – To nie jest umieranie. To nie jest umieranie...

Twarz mu zwiotczała.

Przez moment nikt się nie ruszał.